



## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

### Trzy chwile nad książką.

(Rozmyślanie Wandzi w szesnastą rocznicę urodzin.)

Skończyłam dziś lat szesnaście, a zatem spełniło się dawne moje marzenie: być wreszcie przez wszystkich uznaną za pannę dorosłą. Cieszę się, lecz jednocześnie ogarnia mnie pewnego rodzaju wzruszenie; zdajemy się, że w samej rzeczy nowa epoka w mem życiu się rozpoczyna i, jakbym starszką była, z lubością wspominam zbiegły czas dzieciństwa. Ani myślę się chwalić i stawiać jako wzór córek i uczennic—przeciwnie wyznaję, że wiele tam ze mną było kłopotu, a najwięcej zawsze z powodu czytania, którem przejmowałam się w sposób, ściągający mi najczęściej nagany. Nie wierzycie, a jednak to prawda: posłuchajcie, jak byłam nierozsądną:

Wyobraźcie sobie tylko! czytam powiastkę, której bohaterka bardzo dobra, cierpliwa, przebaczała wszystkie przykrości, wyrządzone sobie przez przyrodnią siostrę. Zachwycam się nie zwracając żadnej uwagi na to, co się koło mnie znajduje i tak zręcznie posuwam łokieć, że brzęk! stłukł się odra-

zu prześliczny wazonik, stojący na stole. Jeszcze nie zdążyłam zdać sobie sprawy z popełnionej szkody, gdy do pokoju wbiegła mama z moją kuzynką Jadwinią; stłuczony wazonik był jej własnością, a co więcej, pamiątką, jako dar przyjaciółki, cóż więc dziwnego, że dobra, lecz żywa jak iskra dziewczyna nie mogła powstrzymać się od wybuchu gniewu i ostro mnie łajać poczęła. Mama każe Jadzię przeproszać, ja płaczę, ale w głębi duszy nie jestem bynajmniej skruszona, gdyż przed załzawionym moim wzrokiem widnieje promienna postać bohaterki powieściowej; przy niej rozłoszczona moja kuzynka wydała mi się tak brzydką i nieznośną, że zamiast samej prosić o przebaczenie, wystąpiłam z nauką moralną o ła-

godności i słodyczy koniecznej dla każdej kobiety. Prawiłam długo i w taki wpadłam zapał, że oburzona początkowo moim zuchwalstwem panienka, w końcu śmiać się zaczęła z dziewięcioletniej mówczyni i wyprosiłaby mnie od kary, gdyby nie stanowczość matki. Lecz nie na tem skończyło się moje upokorzenie. Gdy wieczorem przyszedłam rodzicom życzyć dobrej nocy, przypomniano mi całe zajście, a skoro na swe usprawiedliwienie wyjąkałam, że przecież Emilka (moja bohaterka)



daleko gorsze przykrości znosiła cierpliwie, mama spojrzała na mnie badawczo i spytała tylko: „A ty, Wańdziu, nie gniewasz się nigdy, jak ci młodsze rodzeństwo co spsobi?” Te słowa mnie opamiętały; niestety! nie byłam wzorem starszych siostrzyczek; z Bronką i Helą sprzeczałam się często, a nawet małemu Kaziowi żadnego figla nie puściłam płazem, jakimże prawem żądałam dla siebie pobłażliwości? Teraz dopiero pędem pobiegłam do Jadwini i rzucając się jej na szyję przeproszałam i za szkodę i za niegrzeczność. Później długo nie mogłam się rozstać z tem wspomnieniem; i ile razy przyszło mi do głowy krytykować czyje postępowanie, myślałam zaraz jaką jestem sama i nieraz mnie to zawstydzalo; a gdy zaczynałam się gniewać lub niecierpliwic, nie było dla mnie większej kary nad powtórzenie słów, które sama z powodu Jadzi wyrzekłam: „Emilka daleko większe przykrości znosiła.” Czasami mówiłam „Ta książka narobiła wszystkiego złego; przez nią była ta śmieszna awantura z Jadwigą,” lecz mama odpowiadała: mylisz się, Wańdziu, książeczce tej właśnie wiele dobrego zawdzięczasz, przez nią stałaś się dużo łagodniejszą, radabym abyś zawsze tak umiała korzystać z czytania.”

Niestety! życzenie mojej matki nie ziściło się tak prędko i wkrótce nowe miała ze mną zmartwienie. Zamilowanie w powiastkach ustąpiło na czas jakiś w obec zachwytu, jaki budziły we mnie podróże, które na wyścigi z ciotecznymi braćmi z chciwością pożerałam w czasie wakacyj. Głowy nasze napełniły się wkrótce obrazami dziewiczych lasów Ameryki, przygód na lądzie i morzu, życia na bezludnej wyspie; o niczem innem nie mogliśmy myśleć ani na jawie, ani we śnie. Nagle odzwała się w nas chęć gwałtowna urzeczywistnić te marzenia; z początku wyrażała się ona tylko w niewinnej zabawce. Wybieraliśmy z naszych ulubionych książek odpowiednie ustępy rozdzielaliśmy między siebie role i dawaliśmy rodzaj dramatycznego przedstawienia ku wielkiej ucieście innych dzieci. Ale później, o, później, to nam nie wystarczało, chcieliśmy koniecznie sami podobnych przygód doznawać i ułożyliśmy sobie puścić się w świat na ich poszukiwanie; robiliśmy nawet pewne przygotowania do podróży, ale pilny dozór zapobiegł tej niewczesnej emigracji. Zresztą wakacje już się kończyły i braci moich inna czekała podróż: do szkół, do Warszawy! Dopieroż to ze mną była bieda po ich wyjeździe. Rozgorączkowana zbyt chciwem pożeraniem książek, z trudnością dawałam się nagiąć do porządnej nauki, bo rozbrykana fantazyja unosiła mnie daleko od przedmiotu lekcji. Nie lubiłam też bawić się z siostrami i rówieśniczkami, nie lubiłam krzątać się z mamą około gospodarstwa, ani żadną zajmować robotą; nie lubiłam tego wszystkiego, co mnie dawniej tak żywo interesowało, bo jedyną moją przyjemnością było siaść gdzie w kącie i snuć nieskończone marzenia, czałowałam na sposobną chwilę, aby podróżować bodaj w wyobraźni. Gdy się z tego powodu tak pod każdym względem zaniedbywać poczęła, że mama i nauczycielka rady sobie dać nie mogły, przywołał mnie ojciec do swojego pokoju i przemówił do rozsądku dużej dziewczyny, bo — ze wstydem się przyznaję — nie byłam już wtedy małym dzieckiem, kończyłam rok dwunasty, a wyglądałam na więcej. Na poważne, choć łagodne słowa ojca, łzy mi trysły z oczu, lecz tłumiąc łkanie zawołałam. „Ach tato, tato! jabym bardzo, bardzo chciała być tak dobrą, taką, jak być powinnam, ale doprawdy nie mogę. Mnie się tak nudzi to życie jednostajne, bo mnie pożera ciekawość poznania tego, o czem w książkach czytam. — „Ciekawość taka nie jest sama

w sobie naganną” — mówił ojciec jakby do siebie, a głośnie dodał:

— Moja córeczko, jeżeli cię istotnie taka ogarnęła chęć poznania świata Bożego, to nie potrzebujemy wcale dalekich odbywać podróży, aby jej zadość uczynić! Tyle jest jeszcze na miejscu rzeczy ciekawych i pięknych!

A gdy z pewnem niedowierzaniem spojrzała na niego, zaczął mi opowiadać tak, jak to mój ojciec umie, o istnych cudach przyrody w najbliższem otoczeniu, których zaslepiona nie dostrzegałam nawet do tej pory. Słuchałam z większem zajęciem niż czytania najciekawszej książki, a przy końcu długiej naszej gawędki ułożyliśmy sobie planik postępowania, który prawdziwie mnie zachwycił; przyłożę wszystkich sił do nauki i roboty, a w nagrodę odbywać będę z ojczulkiem częste wycieczki i podczas nich wiedzę o świecie wzbogacę. Dobry poczciwy ojciec! pod jego wpływem nabrałam rzetelnego zamilowania nauki, zaczęłam chętnie czytać popularne dziełka z różnych dziedzin wiedzy, a nawet można mi było bezpiecznie podróże pełne najdziwaczniejszych przygód dać do ręki, bo już wiedziałam, jak czytać takie rzeczy, aby nie tylko przyjemność lecz i korzyść osiągnąć. Więc też gdy w rok później, bracia moi cioteczni znów do nas na wakacje przyjechali, a rówieśnik mój, Adaś, raz żartem spytał:

— Cóż, Wańdziu, pojedziemy we dwoje nawracać Indyan tak, jak mieliśmy zamiar w przeszłym roku?

Rozśmiałam się serdecznie, ale i zawstydziłam trochę, mówiąc:

— Nie, teraz już nie jestem tak nierozsądną i tobie to chyba wywietrzało z głowy. Nie mogę sobie jednak darować żem miała równie szalone pomysły.

— Daruj sobie, daruj, może być, że temu przejęciu się podróżami zawdzięczasz terazniejsze swe upodobanie w geografii i naukach przyrodniczych — rzekł poważnie ojciec, który słyszał naszą rozmowę.

Wychodziłam już z dzieciństwa, a że i wzrost miałam po temu, wszyscy mnie za podlotka uważali wcześniej, niż to zwykle bywa. Ojciec nadal pozostał kierownikiem mego czytania, wybierał mi książki stosowne ze swej biblioteki, objaśniał trudniejsze ustępy, odpowiadał na wszelkie zapytania, a tym sposobem ujmował w karby moję burzliwą naturę. Nie tak dawne to czasy, więc je doskonale pamiętam. Rok piętnasty miałam, gdy pozwolił mi ojciec przeczytać dzieło Smilesa o samopomocy; prawdziwie byłam zachwycona zawartemi tam przykładami siły woli i samodzielności, lecz zamiast zastanawiać się nad myślą przewodnią książki i nad brakami własnego charakteru, dawnym zwyczajem puściłam wodze wyobraźni. Stawiałam się we wszystkich możebnych położeniach życiowych, przebiegałam myślą wszystkie dostępne dla kobiet zawody i nagle porwał mnie jakiś żal bezmierny i jakas nieznana dotychczas tęsknota. Czemu ja nie jestem jeszcze dorosła? Czemu we wszystkim starszych słuchać muszę, a w niczem wykazać nie mogę swej samodzielności? Uczyc się lubiłam bardzo, mamie pomagałam dość chętnie, ale czułam, że się bezemnie wszyscy obejść mogą, że nikomu nie jestem potrzebną, a ta myśl przyprowadzała mnie do rozpacz. Zdobyłam się jednak na tyle rozsądku, że wypowiedziałam się ze wszystkiego ojcu. Pokiwał najprzód głową, lecz bez najmniejszego oburzenia rzekł:

— Masz słuszność, moje dziecko, że o pracy samodziel-

nej myślisz; lecz zanim kto w jakikolwiek sposób działać zacznie, powinien przedtem przygotować się odpowiednio. Powiedzże mi szczerze do jakiego zawodu czujesz powołanie?

Nie spodziewałam się tego spokoju, myślałam bowiem, że natrafię na opór ze strony rodziców, lecz rada z tak pomyslnego obrotu rzeczy, zawołałam dziwiąc się własnej odwadze:

— Ja mam prawdziwe powołanie na nauczycielkę; za półtora roku gdy skończę lat szesnaście, chciałyby zdać egzamin w Warszawie, potem starać się będę o miejsce. Tatuś sam mówił niedawno, że na tak nędznej dzierżawie trudno wyżyć z czworgiem dzieci; kiedy więc dorosnę, powinnam sama myśleć o sobie. Uczyć samych początków to przecież nie trudnego.

— Oho! nic trudnego, tak mówi każda młoda dziewczyna, sądząc, że dość samej umieć czytać i pisać, aby tego drugich uczyć; a jak się tylko weźmie do pracy, rozpoczyna jere-miady na ciężki zawód i dowodzi, że nic niema nieznośniejszego nad nauczycielstwo. Nie chciałbym, aby moja córka do tej kategorii należała.

— Więc mi ojczulek nie pozwoli?—pytałam załęczniona.

— Owszem, radzę ci tylko naprzód własną edukację skończyć, boć nauczycielka przedewszystkiem potrzebuje gruntownego wykształcenia; zostaniesz nią, lecz tylko w takim razie, gdy wyjdiesz zwycięsko z próby, na którą cię wystawię. Kazio ma już rok siódmy, trzeba myśleć o jego nauce, a ani matka zapracowana przy gospodarstwie, ani wasza nauczycielka, która z wami trzema aż za wiele na jedną osobę ma zajęcia, niema czasu, jeśli więc takie wyraźne masz powołanie, jeśli tęsknisz za pracą użyteczną, miej porządne, regularne lekcye z bratem, lecz niech to nie będzie dla ciebie zabawką ale obowiązkiem. Pamiętaj, Wańdziu, że będziesz pod ciągłą moją kontrolą, a ja pedagogicznego partactwa w domu swym nie zniosę.

Stało się jak powiedział. Zamiast jednak zniechęcić się przez doświadczenie z malcem, który, jak zwykle bracisz-kowie, pozwalał sobie więcej z siostrą niż z kim obcym, nabrałam jeszcze większego zapału, a z rad ojca i z książek wspólnie z nim czytanych, zebrałam, nie chwając się, spory zasób wiedzy potrzebnej w mym przyszłym zawodzie i dziś wspominając sobie swe dziecinne niedorzeczności, powtarzam po tysiąc razy:

„Więc i mój nierozsądek, dzięki ojcu wyszedł mi na dobre. Daj Boże wszystkim moim rówieśnikom taki na progu życia kierunek!”

*Aniela Szyc.*

## ULEWA.

Na szczytach Tatr, na szczytach Tatr,  
Na sonej ich krawędzi,  
Króluję w mgłach świszczący wiatr,  
I ciemne chmury pędzi.

Rozpostarł z mgły utkany płaszcz,  
I roszę z chmur wyciska —  
A strugi wód z wilgotnych paszcz  
Spływają na urwiska.

Na piętra gór, na ciemny bór,  
Zasłony spadły sine,  
W deszczowych łzach, granitów gmach  
Rozpląnął się w równiue.

Nie widać nic — błękitów tło  
I całe widnokregi  
Zasnute w cień, zalane mgłą,  
Porznięte w deszczu pręgi.

I dzień i noc i nowy wschód  
Przechodzą bez odmiany —  
Dokoła szum rosnących wód,  
Strop niebios ołowiany.

I siecze deszcz i świszczę wiatr  
Głośniej się potok gniewa,  
Na szczytach Tatr, w dolinach Tatr,  
Dokoła grzmi ulewa.

*E...y.*

## MAŁY KRÓLEWICZ,

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW WĘGIERSKICH.

przez *Teresę Jadwigę.*

(Dalszy ciąg.)

— Królowo — rzekli — syn twój zraniony, lecz nie lękaj się, niebezpieczeństwa niema; zaraz go tutaj przyniosą.

Izabella postąpiła ku drzewom niespokojna, w tej samej chwili czterech kmieci stanęło w progu, niosąc bladego, jak płótno Zygmunta.

— Nie lękaj się matko — rzekł — rana bolesna, lecz nie śmiertelna; płonąca belka przygniotła mi nogę. Przygotuj matko bandaże i maści, a wy, tu zwrócił się do kmieci — złóżcie mię tutaj — i wskazał im stojącą pod oknem, przykrytą kobiercem ławę.

Kmiecie spełnili rozkaz jego; stara piastunka przyniosła poduszkę z pobliskiej alkowy i podsunawszy mu ją pod głowę, stanęła z rękoma splecionemi, kiwając głową ze smutkiem. Tymczasem Izabella, która oddaliła się po bandaże i leki, wróciła, przyklekła u nóg syna, jeden z towarzyszy Zygmunta, zdjął mu but z nogi skaleczonej, krew się posączyła, sińce wystąpiły, noga była strasznie stłuczona, i puchną zaczęła.

— O, biedny ty, jak ty cierpieć musisz — szepnęła królowa.

— Więcej cierpię ci, którym piorun wydarł mienie — odparł Zygmunta — wszystko im spalił; płaczą gorzko biedacy. Dałem im co miałem przy sobie, i kazałem przyjść tutaj; obiecałem, że póki chaty im nowej nie postawię, u nas mieć będą przytułek.

— Dobrześ uczynił, Zyguncie — rzekła Izabella, płatkami maczanemi w wodzie chłodzącej okładając nogę — oni poddani nasi, nasz obowiązek ratować ich w niedoli.

— I jemu nie królować — odezwała się stara piastunka — Boga by chyba w niebie nie było, żebyś ty królewczu nie wrócił do korony

Zygmunta uśmiechnął się.

— Albow ja tutaj nie król! — rzekł — państwo moje niewielkie coprawda, lecz za to Turczyn i Niemiec nie wydzie-rają mi go, sztylet mordercy nie szuka mnie w nocy, śpię spokojnie; lepiej mi tu stokroć, niż było w Siedmiogrodzie.

— Obyś tak zawsze myślał — rzekła Izabella, patrząc z wdzięcznością na syna.

— Bądź spokojną matko, nie pokuszę się o odebranie korony Ferdynandowi, zbyt ciernistą była ona dla nas — odparł Zygmunt — Każ obiad podać, woda twoja uśmierzyła ból, co mi ranę piekłą, głód się przypomniał.

Wkrótce przyniesiono obiad, goście siedli do stołu, królowa i piastunka z nimi, lecz Izabella cochyla wstawała, by ranę opatrzyć, lub by synowi podać obiad, tymczasem goście opowiadali o zaszłym wypadku. Piorun uderzył w jedną z chat wiejskich, nikogo z ludzi nie zabił, wzniecił pożar i w jednej chwili objęły ją płomienie. Gdy przybyli, już cała była w ogniu; płomieni gasić nie śmieli, boć grom Boży je zapalił, lecz chcieli wyrwać, co było wewnątrz chaty, wieśniacy płakali, że w chacie została krowa ich karmicielka, dziecko niemowlę w kołysce i skrzynia, w której mieścił się grosz, latami

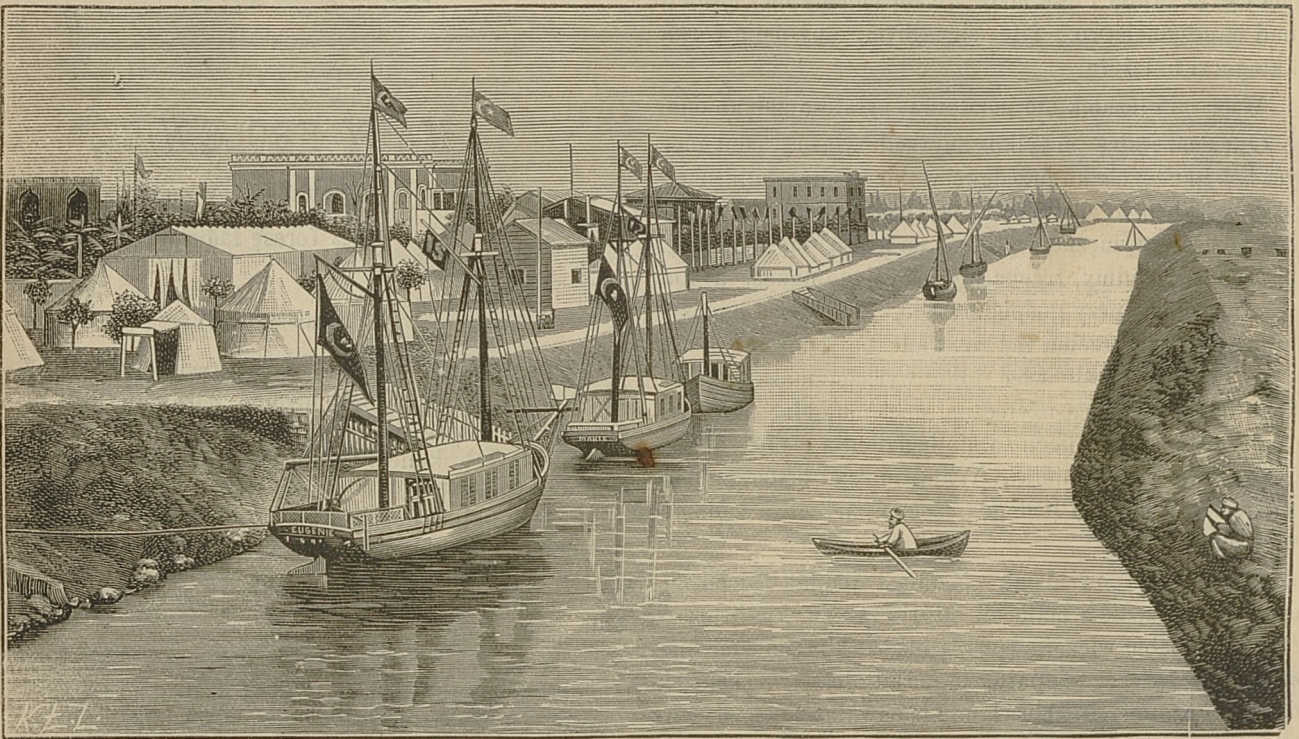
Pacholek wnet spełnił rozkaz.

— Jadą jacyś panowie — rzekł, zwróciwszy się ku królewiczowi — moc ich jest wielka, a strojni, jak królowie, aż ćmi oczy patrzeć na nich.

— Matko, zobaczcie, co też on mówi — rzekł królewicz. — Może wuj Zygmunt jedzie do nas.

Gdy mówił te słowa, nśmiechł wybiegł mu na twarz, śnać wuj, którego się spodziewał, miłym był jego sercu.

Izabella zbliżyła się do okna — słońce wspaniale świeciło na niebie, pięknie wyglądała wykąpana ziemia, drzewa i krzewy odzyskały zieloność majową, na liściach perlily się krople rosy, w których przeglądały się promienie słońca; wicher zmiotł połamane gałęzie, zacierając ślady burzy, tylko kałuże wody świeciły jeszcze. Kłosa zboża przytłoczone ulewą już podnosić się zaczynały, na nich również błyszczały krople świecące, ludząc wzrok, że jakaś szcudra ręka brylantami je



WIDOK NA PORT-SAID U UJŚCIA KANAŁU SUESKIEGO.

przez nich oszczędzony. Królewicz wdarł się pierwszy do wnętrza chaty, znalazł niemowlę, wziął je na ręce, krówkę od żłobu odwiązał i wygnał na dwór, potem sam z dzieckiem wyszedł, a oddawszy je matce, wrócił po skrzynię, lecz w tej chwili belka pałacej się ściany spadła mu na nogę; zemdlał z bólu, kmięcie cisnęli się ku niemu, ocucili go wodą, a on ich pytał: „ile mieliście w skrzyni pieniędzy, abym wiedział, ile wam oddać”.

Izabella słuchała wzruszona. Jakże szczęśliwą się czuła w tej chwili: syn jej był dobrym, odważnym i władzy niezdądnym; co posiadał wystarczało mu, kochała go w tej chwili więcej, niż kiedykolwiek.

Zasłuchani w opowiadaniu wszyscy obecni w izbie nie spostrzegli, że poza oknami jakiś gwar się rozległ; był on już bardzo wyraźny, gdy pierwszy dosłyszał go Zygmunt; skinął na jednego z pacholek, który stojąc pod ścianą, czekał rozkazów i rzekł:

— Otwórz okno, co na gościniec wychodzi, wyjrzyj czy nie jedzie tam kto.

przystroić. Pomiędzy łanami zboża jechała drużyna panów, Izabella przypatrywała się im, rada byłaby poznać w jadących oczekiwanego przez syna gościa, lecz nie zdawało się jej, aby to on być mógł.

— Nie wiem kto oni — rzekła nakoniec odszedłszy od okna — tegom pewna tylko, że nie wuj, panowie ci węgierskie suknie mają na sobie.

— Ha! przekonamy się rychło — odparł Zygmunt — obwińcie mi matko nogę bandażem i zasłońcie ją, kaźcie mi też podsunąć pod głowę więcej poduszek, bym siedząc przyzwocicie powitać mógł gości.

Izabella obandażowała synowi nogę, misy ze stołu kazała sprzątnąć i stanęła obok Zygmunta, towarzysze zaś u nóg jego stanęli.

— A może to poselstwo z Węgier, może koronę wiozą ci, królewiczu — odezwała się stara piastunka, która już wróciła do swego kołowrotka.

Fala krwi uderzyła Zygmunta do twarzy, Izabella pobladła.

— A gdyby? Szepnął królewicz i wzrok podniósł na matkę — cóżbyśmy rzekli, gdyby w istocie wezwano mnie na tron.

Milczeniem zrazu odpowiedziała królowa, po chwili jednak położywszy dłoń na ramieniu syna odezwała się:

— Ciernistą była dla nas korona Węgier, lecz nie dlatego zrzekłam się jej Zygmuncie... cierpieć przeznaczeniem wielu, oddałam ją bo przez nas Węgry tonęły we

knąwszy — zgnębiony tyrańskimi rządy Ferdynanda, Siedmiogród wysłał nas do ciebie, aby ci rzec:

„Wracaj do nas, ulituj się nad naszą niedolą, zostań księciem naszym; niechaj ziści się wróżba owego dnia, w którym odłamek korony węgierskiej znalazłeś: Siedmiogród to część Węgier, niechaj on do ciebie należy... Siedmiogród nie chce mieć dłużej panem Ferdynanda, który go uciska, pozwala gnębić swym urzędnikom, który go zniemczyć



WIDOK MIASTA IZMAILIA I KANAŁU SUESKIEGO.

krwi, poddani ginęli z nędzy, zbrodnie rozgościli się na ziemi węgierskiej... Gdyby jednak Ferdynand nie umiał Węgom, pokoju zapewnić, gdyby Węgrzy przyszli i powiedzieli: „Złe nam jest pod rządami obcych, wróć do nas synu Zapolyi” powiedziałabym ci wówczas: Bierz, Zygmuncie, koronę, którą nieszczęśliwy naród ci powraca, może lepiej, niż ja, z wrogiem twego ludu walczyć będziesz umiał; prędzej, niż ja, nieprzyjaciół pokonasz... Jeszcze mówiła, gdy w sieni gwar się dał słyszeć, drzwi komnaty rozwarły się na oścież i w progu grono mężczyzn stanęło. Izabella spojrzała uważnie i teraz, gdy tak blisko niej byli, poznała same znajome twarze. To panowie Siedmiogrodu: Jerzy Boeskai, Toröch, Drugath, a wśród nich hrabia Temse, opiekun jej syna... Czyżby stara piastunka przecuciem odgadła, kto dąży do nich?

Serce zabiło jej silnie, czekała jednak i nie pytała czego chcą od nich, a panowie wszedłszy, pokłonili się nisko, poczem hrabia wystąpił naprzód:

— Synu Zapolyi, królewiczu Zygmuncie, rzekł przykle-

usiluje... Nie chce mieć panem zbrodniarza, który dla utrzymania się na tronie krew przyjaciół twych przelewa... Martunizi nie żyje, zamordowano go z rozkazu Ferdynanda.

— Martunizi zamordowany? — Zawołali jednocześnie ze zgrozą Izabella i Zygmunt.

Cisza zaległa izbę, hrabia Temse wstał, czekał odpowiedzi; Zygmunt wahał się, namyślał.

— Panowie — odezwał się wreszcie — ja sam odpowiedzieć nie mogę, zostańcie u nas dni kilka, zasięgnę rady wuja, on mój opiekunem obecnie; chcę wiedzieć, jakie będzie jego zdanie w tej mierze... Gdyby całe Węgry wezwały mnie, wiedziałbym, co czynić, lecz niezgód domowych się lękam, lękam się, by przezemnie nie rozdzieliły się Węgry...

— Nie nalegamy na cię królewiczu, byś dziś koniecznie dał nam odpowiedź — rzekł hrabia Temse — słabym jesteś; i tak nie mógłbyś jechać z nami. Będziemy czekali cierpliwie, póki się nie namyślisz co czynić,

— A więc rozgoście się panowie — odparł Zygmunt

wesoło — dom u nas obszerny, znajdzie się miejsce dla każdego.

To mówiąc klasnął w dłonie, wbiegło kilku pacholków. — Konie podróżnych odprowadzić do stajni — rzekł — miejsce o nich staranie.

— Rozgoście się panowie, posiłek wnet wam przyniosą — odezwała się Izabella — wychodząc z izby. Goście odpięli szable, pod ścianami je umieścili i rozsiedli się na ławach.

— Cóż w Węgrzech słyhać? — Zapytał Zygmunt — my tu na Krzepicach nie wiele wiemy; gdy wuj ostatnim razem był u nas, mówił że wojna nie ustaje, że Turcy znowu wkroczą.

— Prawda to wszystko; — odparł hrabia Temse — królowa Węgierska oddała Ferdynandowi koronę, by krew węgierska łać się przestała, a krew ta leje się na nowo. Ferdynand wziął koronę, lecz nie myślał stać się ojcem ludu, który go królem swoim obwołał. Znalście Martuniego: on kochał swą ziemię całą duszą, całym sercem, nie mógł znieść jej niedoli, postanowił rzucić Ferdynanda z tronu i w tym celu porozumiał się z Portą. Sułtan wysłał wielką armię pod Budę; Ferdynand lękając się potęgi biskupa, zgładzić go postanowił. Martunizi przeczuwał to, i usunął się do warownego zamku Alwitz, lecz nie przestał zajmować się sprawami państwa, przyjmował urzędników cesarskich; skorzystał z tego Ferdynand, przekupił ich... Ferrare, sekretarz dowódcy wojsk austriackich, wprowadził zbójców do gabinetu biskupa... Zanieśliśmy skargę do Rzymu, papież Juljan II-gi rzucił klątwę na sprawców zbrodni, myśmy wolni od przysięgi czynionej Ferdynandowi, wolne od niej całe Węgry, ale niestety podzieliły się one na dwie partye: jedni popierają Ferdynanda, drudzy was radziby widzieć.

— Biedna moja ziemia; — szepnął Zygmunt.

— O, biedna bardzo — odparł hrabia Temse z ciężkiem westchnieniem: — wojna w niej wre, giną ludzie, płoną miasta, a nie widzimy końca niedoli...

Ferdynand wytłómaczył się przed papieżem z popełnionej zbrodni: powiedział, iż spełniono ją bez jego wiedzy i papież go rozgrzeszył, zdjął z niego klątwę, wprowadzając z zastrzeżeniem: „jeśli obrona jest prawdziwą” lecz któż dowiedzie, że Ferdynand kłamie? Zbójcy hojnie opłaceni, uciekli daleko; Ferrare powrnie skazany został na wygnanie, lecz cesarz złotem mu to wygnanie słodzi; tymczasem Węgry cierpią, bo Ferdynand je gnębi i wojna je niszczy.

— Czyż siły mają przewagę? — zapytał Zygmunt, Austriackie, czy tureckie?

— Raz jedno, raz drugie — odparł hrabia Temse — Mahmud basza, przysłany przez Solimana, 100,000 wojska przywiódł ze sobą, zdobył już Temeswar i Agliją, ową twierdzę przez S: Stefana zbudowaną, Budę w swem ręku trzyma... Ferdynandowi przybyły świeże posiłki, które przysłał Maurycy, książę Saski.

(d. n.)

## Port-Said i Izmailia.

Miasto Port-Said, wrzące dzisiaj przemysłem i liczące około 30,000 mieszkańców, zostało tak nazwane od imienia władcy Egiptu, Mohammed-Saida, z którego upoważnieniem i pomocą rozpoczął słynny Lesseps roboty około przekopywania między morza Sueskiego, dziś zamienionego na kanał, rozłączający dwie części świata, Afrykę i Azyę. Grunt nawet pod miasto sztucznie utworzone za pomocą nasypów nagromadzonych na wąskim przesmyku, który piaszczystą ławą dzieli morze Śródziemne od jeziora *Menzaleh*. W to właśnie miejsce, po raz pierwszy ugodził Lesseps motyką w piasek, dając tem hasło do rozpoczęcia robót około kanału, na którego początku znajduje się Port-Said, miasto Izmailia zaś, (znajdu-

jąca się o 25 wiorst od głównego zbiornika jezior Gorzkich, przy zetknięciu kanału Suezkiego z kanałem wody słodkiej,) jest punktem środkowym ruchu. Stanowi ona istną oazę na pustyni i liczy dzisiaj kilkanaście tysięcy mieszkańców.

Wszystko to jest dziełem żelaznej woli, wytrwałości i pracy Lessepsa, o którym opowiadają, że chcąc nakłonić wice-króla, Mohammed-Saida, do zezwolenia na wielkie przedsięwzięcie, użył małego podstępu. Znajdując się raz z wice-królem na pustyni libijskiej, gdzie wzrok obejmował bezgraniczne przestrzenie, Lesseps, jakby na niego prorocze natchnienie zstąpiło — wyciągnął ręce przed siebie i wróżyć zaczął Egipcjom wielkość i potęgę, wice-królowi zaś sławę nieśmiertelną, jeżeli na przekopanie między morza zezwoli.

Niewiadomo, o ile opowiadanie to jest prawdziwym, w każdym razie postępek Lessepsa nie można nazwać naganym: nietylko bowiem skutek uwieńczył jego usiłowania, lecz zamiary jego dobro powszechne miały na celu.

## Tajemniczy Zamek.

(Dalszy ciąg).

— I to mówiąc, naśladował doktor Patak rozpaczliwe ruchy człowieka, który jak lis w żelazo schwytyany, nóg uwolnić nie może.

— Nagle, krzyk się słyseć daje... krzyk przeraźliwy... To Niko krzyk ten wydał... Rękoma silnie dotąd łańcucha ucepiony, puszcza go nagle i... spada na dno fosy, jakby siłą niewidzialną rzucony!

To pewne, że pomimo przerażenia, z którego dotąd nie mógł się doktor otrząsnąć, nie rozminął się z prawdą w opowiadaniu wypadków, w niczem ich nawet nie przesadził. Jak opowiadał, tak było w samej rzeczy: wyżyna Orgallu służyła istotnie zeszłej nocy za widownię różnym, niezwykłym zjawiskom.

Oto co nastąpiło po spadnięciu Nikona: leśniczy leży zemdlony, a doktor nie może przyjść mu na pomoc, bo buty ma jakby przygwożdżone do ziemi, nóg zaś spuchniętych z butów wyrwać nie może... Nagle, niewidzialna siła krępująca go, działać przestaje. Odzyskuje swobodę ruchów... rzuca się do towarzysza i, (za akt wielkiego męstwa poczytać mu to trzeba!) zwiłża mu twarz chustką umoczoną w wodzie tam zaczerpniętej... Leśniczy wraca do przytomności, lecz lewą rękę i część ciała ma jakby sparaliżowaną straszem wstrząśnieniem, którego doznał... Przy pomocy wszakże doktora dźwiga się z ziemi, wdrapuje na kontrszkarpe i zmierza z powrotem ku wsi... Lecz po godzinie może, nie jest już w stanie iść dalej... tak gwałtowne cierpi bóle w ręce oraz w boku, że zatrzymać się musi... Doktor wybierał się właśnie sam zejść do wsi, żeby pomocy zawezwać, gdy spotkał w samą porę przybywających, sędziego, Jonasza i Fryka. Opinii o stanie zdrowia leśniczego nie wydawał doktor Patak, unikał tego nawet, chociaż zwykle okazywał przy chorym niezmierną pewność siebie.

— Jak ktoś zachoruje na chorobę... człowiekowi przyrodzoną — odpowiadał bardzo poważnym tonem — to dosyć już ma z tem doktor kłopotu! Ale gdy się ma do czynienia z chorobą nadprzyrodzoną, którą czart zesłał na człowieka, to czart chyba sam jeden wyleczyć z niej może!

Słowa te nie zdawały się zapowiadać Nikonowi nic dobrego. Na szczęście nie był doktor Patak nieomylnym, jak nieomylnymi nie są daleko uczeńsi od niego lekarze! Młody leśniczy silny i dobrze zbudowany, jak rzadko, mógł mieć wszelką nadzieję przyjscia do zdrowia — nawet bez pomocy czarta — pod warunkiem wszakże, aby nie wykonywał zbyt ściśle poleceń dawnego dozorczy kwarantanny.



## VIII.

Wydarzenia temu podobne nie mogły uspokoić trwogi, w mieszkańcach Werstu zbudzonej. Niewątpliwą stawało się rzeczą, że nie próżną to pogroźkę rzuciły tajemnicze owe usta, których głos dał się słyszeć w gospodzie. Niko, w niewytłomaczony sposób ukaranym został za nieposłuszeństwo i zuchwalstwo swoje, nie należało więc uważać to za przestrożę dla każdego, ktoby miał ochotę pójść za jego przykładem? Czyż nie dał się wyprowadzić z jego przygody ten najprostszy wniosek, że wbronionem jest wszelkie usiłowanie dostania się do tajemniczego zamczyska, że kto się o to pokusi, ten z uarażeniem życia to uczyni? Wątpić nawet nie można, że gdyby się leśniczy dostał był do środka gmachu, nie wyszedłby żywy stamtąd.

Postrach więc padł niewysłowny nie tylko na wieś całą, ale nawet na Wulkan i na całą dolinę obu rzek Syl. Trwożliwi odzywali się już nawet z zamiarem opuszczenia okolicy, kilka rodzin cygańskich wołało wynieść się zupełnie niż pozostać w sąsiedztwie zamczyska, które służyło za schronienie nadprzyrodzonym, złośliwym jakimś istotom, żadnych względów nie mających dla nikogo. Rząd węgierski powinienby uczynić krok stanowczy i zwalić te mury przeklęte, chociaż... kto wie czy da się to zrobić środkami, będącymi w ludzkiej mocy jedynie?

Przez cały pierwszy tydzień czerwca, nikt nie odważył się wyjść poza obręb zabudowań wiejskich, nawet dla najpilniejszych w polu robót. Czyż bowiem każde zapuszczenie motyki nie mogło wywołać ukazania się jakiegoś widziadła, zagrzebanego w ziemi? Czy z pod pługa, co ziemię w bródzy przekrawa, nie wzleci orszak strzyg, lub innych złoczynnych duchów? Czy ziarno w ziemię rzucone nie wejdzie dyablików plonem, zamiast zejść kłosem pszenicznym?

— Niezawodnie tak będzie, nieinaczej! — Z głębokim przekonaniem twierdził Fryk, i słowa czynem popierając, nie prowadził owiec na pastwisko nad Syłą leżące.

W trwodze i strachu żyła więc cała wieś. Zamiedbano zupełnie robót w polu, każdy siedział pod dachem, starannie pozamykawszy drzwi i okna. Sędzia Kolc nie wiedząc już, co uczynić, aby przywrócić w sercach współobywateli odwagę, której zresztą i jemu samemu brakło, przemysliwał o udaniu się do władz z prośbą o wdanie się w tę sprawę i wzięcie wsi pod swoją opiekę.

A ów dym? Czy pokazywał się jeszcze nad kominami zamczyska? Tak; kilkakrotnie dawał się spostrzeć przez dalekowiedz; ciężkie jego kłęby łatwo można było rozróżnić od lekkich mgieł i oparów ślaniających się nad wyżyną płaskowzgórza.

A chmury? Czyż za nadejściem nocy nie przybierały krwisto-czerwonej barwy, niby łuny od pożaru bijącej? Czyż nie kłębiły się ponad zamkiem, zbite w ciężkie, płomieniami zionące zwoje?

A ów ryk nieludzki, który tak przestraszył Pataka? Czyż i teraz nie rozlegał się po gęstwinie boru, ku niewysłownej trwodze mieszkańców? Pomimo odległości wiatr południowo zachodni przynosił go aż tutaj; echem jego cały wąż rozbrzmiewał.

A prócz tego, ludność Werstu, oszałała przestraczem, twierdziła, że podziemnymi drganiem wstrząsa się pod ich nogami ziemia, tak zupełnie, jakby wygasły jaki wulkan na nowo wybuchać zaczynał. We wszystkim co mieszkańcom Werstu zdawało się czuć, widzieć i słyszeć, mogło być dużo przesady, strach bowiem wielkie ma oczy, były jednak i fakta dotykalne, nie dające się zaprzeczyć a niczem niewytłomaczalne, które pobyt w okolicy czyniły zupełnie niemożliwym.

Samo z siebie wynika, że wobec podobnego stanu rzeczy gospoda *Pod królem Matyaszem* stała zupełną pustką. Unikano jej jak miejsca zapowietrzonego. Nikt nie miał odwagi przestąpić jej progów. Jonasz nieraz zadawał sobie pytanie, czy z braku klientów nie zostanie zmuszonym zwinąć opłacający się dotąd zakład, gdy niespodzianie przybycie dwóch podróżnych wpłynęło na zmianę położenia.

Dnia 9-go czerwca, koło ósmej wieczorem, ujął ktoś za klamkę drzwi wchodowych; drzwi jednak od wewnątrz za-ryglowane, pozostały zamkniętymi. Jonasz, który już się był udał na spoczynek do izdebki swojej na facyatce, zbiegł na dół czempredzej, ożywiony nadzieją ujrzenia od dawna niewidzianego gościa, a powstrzymywany obawą, żeby czasem ten gość nie był podejrzanym jakimś, nie z tego świata przybyszem, którego przyjęcie pod dach niekoniecznie pożądaną jest rzeczą.

Nie otwierając więc drzwi, zaczął Jonasz przedwstępna rozmowę.

— Kto tam? — zapytał.

— Dwaj podróżni.

— Żywi.

— Zupełnie żywi.

— Czy z pewnością?

— Z największą pewnością, ale gotowi przestać być żywymi i pomrzeć z głodu, jeżeli ich nie wypuścisz do środka.

Zdecydował się tedy Jonasz poodsuwać rygle i do izby gospodniej weszło dwóch ludzi. Każdy z nich zażądał osobnego pokoju, zapowiedzieli bowiem, że całą dobę w Werst przepędzą.

Z niezmierną uwagą przyjrawszy im się przy świetle lampy, nabrał Jonasz pewności, że z żywymi i prawdziwymi ludźmi ma do czynienia.

— Chwała Bogu! — pomyślał — trafiła mi się gratka!

Młodszy z podróżnych zdawał się mieć lat około trzydziestu dwóch, wzrostu był wysokiego, szlachetnej postawy, piękne miał rysy twarzy, oczy czarne, włosy ciemno-kasztanowate, wyraz oblicza smutny trochę, lecz dumny; cała jego powierzchowność zdradzała, że należy do wyższego stanu, i odgadł też to od razu Jonasz, który z zawodu swego trafnym spostrzegaczem być musiał.

Na zapytanie pod jakim nazwiskiem zapisać ma obu podróżnych:

— Hrabia Franciszek Telek — brzmiała odpowiedź — i ordynans jego, Rocko.

— Skąd?

— Z Krajowy.

Krajowa miastem jest rumuńskim i niezaprzeczenie do rumuńskiej też narodowości należał Franciszek Telek, co z powierzchowności jego odgadł Jonasz za pierwszym rzutem oka.

Towarzysz młodego pana, Rocko, czterdziestoletni blisko człowiek, wysoki, barczysty, wąsaty, krótko ostrzyżony, prawdziwie żołnierską miał postawę. Na plecach dźwigał żołnierski tornister, w rękę zaś trzymał niewielką walizkę podróżną, stanowiącą cały podróżny pakunek hrabiego, który najczęściej piechotą, jak prawdziwy turysta, podróżował. Ubiór też miał odpowiedni: płaszcz w wałek zwinięty i przez ramię przewieszony wielki kapelusz na głowie, bluzę obcisniętą pasem, od którego zwieszał się nóż wołoski w skórzanym futerale, kamasze i ciżmy o szerokiej i grubej podeszwie.

Dwaj ci podróżni byli tymi samymi, których przed dziesięciu dniami spotkał Fryk w wąwozie, idących w stronę Retyezatu. Zwiedziwszy całą okolicę w promieniu kilkomiłowym, wszedłszy na wierzchołki kilku gór, przechodzili wypocząć trochę w Werście, skąd udać się zamierzali w dolinę obu rzek Syl.

— Możesz nam dać dwa pokoje? — Zapytał Franciszek Telek.

— Dwa... trzy... cztery... ile się panu hrabiemu podobna — pośpieszył odpowiedzieć Jonasz.

— Wystarczy nam dwa — rzekł Rocko — chcemy tylko, żeby byli obok siebie.

— Proszę, niech panowie sami obejrzą — rzekł Jonasz, otwierając dwoje drzwi umieszczonych w samym końcu izby gospodniej — czy te podobają się panom?

— Bardzo; przygotuj je dla nas — odparł Franciszek Telek.

Widzimy więc, że Jonasz niczego się obawiać nie potrzebował od nowo-przybyłych gości. Nie były to istoty

nadprzyrodzone, duchy, które kształt ludzki przybrały. Bynajmniej! młody pan wyglądał na prawdziwego pana, na jednego z takich, których każdy właściciel gospody chętnie wita u siebie. Kto wie? Może nawet przyniesie on szczęście gospodarzowi? Nie codzień trafiają się tacy goście!

— Czy daleko stąd do Koloswaru? — spytał młody hrabia.

— Z jakie pięćdziesiąt mil, gdyby trzymać się drogi na Karlsburg i na Petroselo — odparł Jonasz.

— Jaka droga? łatwa?

— Bardzo nużąca dla pieszych, a jeżeli mi wolno uczynić uwagę, to pan hrabia zdaje się potrzebować kilku dni spoczynku...

— Czy możecie dać nam co zjeść? — przerwał Telek, nie zważając na przymilania się Jonasza.

— Pół godziny cierpliwości, a będę miał zaszczyt ofiarowania panu hrabiemu posiłek...

— Na dzisiaj wystarczy nam chleb, wino, jaja i kawałek zimnego mięsa.

— Znajdzie się to wszystko do usług pana hrabiego.

— Byle jak najprędzej.

— W mig będzie, panie hrabio.

Zmierzał już Jonasz do kuchni, gdy powstrzymało go pytanie.

— Zdaje się, że niewiele bywa tu gości?

— W istocie, panie hrabio, jak na teraz niema nikogo.

— Więc nikt nie przychodzi tu wieczorem wypić coś i fajkę wypalić?

— Późno już, panie hrabio, u nas ludzie idą spać z kurami.

(d. c. n.)

## ROZMAITOŚCI.

Przed stu laty przeszło, część zbuntowanej załogi angielskiego okrętu „Bounty” została za karę wysadzona na ląd, na wybrzeżu wyspy Pitcairn na oceanie Spokojnym i postanowiła tam pozostać, przekonawszy się, że ziemia jest bardzo urodzajną. Utworzona w ten sposób kolonia liczy dzisiaj blisko trzyset mieszkańców; mówią oni po angielsku, i mają wszelkie postępy cywilizacji, lecz żyją w oddaleniu od reszty świata na wzór Robinsona. Żywią się owocami i zwierzyną, których jest na wyspie wielka obfitość. Pieniądze mają, lecz te kursują tylko, w obrębie ich kraju. Każdy interes, jaki zawierają między sobą mieszkańcy tego miniaturowego państwa, odbywa się na zasadzie wymiany towarów i mienia. Od czasu do czasu zdarza się, że przejeżdżający okręt jaki zawinie do brzegu, by nabyć od wyspiarzy zapasy żywności. Pieniądze za to otrzymane, chowane są starannie i bywają następnie użyte na kupno książek, amunicji, sprzętów łowieckich i broni palnej, a przedmioty te przywozi znajomy statek zarzucający niekiedy kotwicę na wybrzeżu wyspy. Władza rządząca spoczywa w rękach prezydenta, obieranego tylko na rok jeden i nazywanego „pierwszym mężem państwa”. Cieszy on

się wielkiem poważaniem, gdy wszakże skończy się jego panowanie, pociągany bywa do odpowiedzialności i lud osądza, czy źle lub dobrze rządził, czy był sprawiedliwy lub nie, czy zasługuje na pochwałę, czy też na naganę. Życie na wyspie jest bardzo spokojne, praca niezbyt ciężka i mieszkańcy uważają się za bardzo szczęśliwych.

## SZARADA.

przez Ewę Maryę.

*Pierwsze spółnikiem, a choć niczem drugie, trzecie,  
Jednostki mnoży, kiedy po nich je piszecie;  
Wraz rzeka w czeskim kraju, dopływ mniejszy prawy,  
Ginie w Elbie powyżej miasta Bolesławy.*

## ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ułożył Jaśko Warszawiak.

Z następujących sylab: Ki—al—e—i—ta—na—on—sy—bat—zan—don—lo—fi—me—go—bro—ge—i—mrów—da—fa—bor—lah—lium—nia—ułożyć 9 wyrazów, których początkowe litery czytane z góry na dół, złączone spółnikiem, utworzą nazwisko wodza ateńskiego, a końcowe w tymże kierunku nazwę miejsca jego zwycięstwa. Znaczenie wyrazów: 1. Symbol pracowitości. 2. Przylądek na połud. brzegu Cypru. 3. Miasto w Szwajcaryi. 4. Góra w Galilei. 5. Bohaterka tragedyi Eurypidesa. 6. Zbiór liter. 7. Miasto nad Nilem. 8. Rzeka w Hiszpanii. 9. Syn Jakóba.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 25-go.

*Homonimu: D u m a.*

*Łamigłówni kryształowej:*

J  
M A g  
Z a K o n  
G a r O n n a  
G a r i B a l d i  
J A K O B I N A U D I  
S r e N i a w a  
D u n A j e c  
L a U e r  
O D a  
I

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TRĘŚĆ: Trzy chwile nad książką p. Anielę Szyca (z drzew.) — Ulewa, wiersz p. E..y. — Mały królówicz, powieść z dziejów węgierskich p. Teresę Jadwigę. — Port-Said i Izmailia (z drzew.) — Tajemniczy zamek. — Rozmaitości. — Łamigłówni i rozwiązania. Dodatek: Kuropatwy p. A. M. (z drzew.) — Bacik Wacia p. Romanie Kamieńską. — Jagoda, wiersz. — Królowna, opowiadanie ciotki Maryni. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: W krainie Gwebrow, Andrzeja Laurie przekład T. P.



# WIECZORY RODZINNE.



## KUROPATWY.

Tam na brzegu łąki, tuż koło kępy berbersy żyła sobie rodzina kuropatw. Ośmioro dzieci liczyła ta rodzina, dzieci, które już same umiały sobie ziarenek zboża na pożywienie wyszukać, lub robaka z ziemi wygrzebać, lub też źdźbło młodego owsa albo jęczmienia uszczypnąć.

Nauczyła ich tego matka, powiedziała im też aby w razie

niebezpieczeństwa kryły się prędko między gałęzie berbersowego krzaku, lub też przypadały szybko do ziemi, gdyby ich zoczył jaki zły jastrząb, kobuz, krogulec, bo drapieżniki te bez miłosierdzia zabijają i zjadają mniejsze ptaki.

— O my mamy dobre nogi, chwaliło się jedno z kuropatwiąt — nauczyłyśmy się już uciekać.

— Bo też wszystkie kuropatwy mają dobre nogi — odezwał się ojciec. — Spore już jesteście, należałoby zając się waszem wykształceniem, nieprawdaż — dodał zwracając się do matki.

— Bez wątpienia — odparła — zaraz zaczniemy, jesteście już najedzone, więc zbierzcie się koło mnie i posłuchajcie co wam powiem o kuropatwym rodzie. Wiecie, że jesteście ptakami, otóż ptaki mają tę wyższość nad innymi zwierzętami, że za pomocą skrzydeł latać mogą, gdy tymczasem inne zwierzęta tylko biegać po ziemi potrafią, lub też pełzać jak wąż na przykład. Istnieją wprawdzie zwierzęta zwane niedoperzami, które zamiast skrzydeł mają błonę rozpiętą między przednimi i tylnymi nogami i przy jej pomocy latać umieją. Wiem, że niedoperze żyją na świecie, lecz naprawdę nigdy ich nie widziałam, bo one latają tylko w nocy, mieszkają w starych murach, w dziuplach drzew, a zaś kuropatwy w nocy śpią i tylko na polach, łąkach suchych żyją, więc spotkać się nie mogłam z niedoperzami. Mówił mi jednak o nich pewien mój znajomy wróbel, który wiele rzeczy wie, bo ciekawy jest taki i śmiały, że wszędzie zajrzy i byle miał co jeść wszędzie zamieszka.

Trzeba wam też wiedzieć, że niektóre ptaki wcale latać nie mogą, tak małe skrzydła mają; żyją one bardzo daleko od nas, aż w Australii, jak *nielot*, *kazuar* wre-

szcie *struś* w Afryce. Owe ptaki mają jeszcze tę właściwość, że kości ich pełne są szpiku, gdy tymczasem nasze kości wypełnia tylko powietrze, a gdy mówię nasze kości, nie myślę jedynie o kuropatwach, lecz o wszystkich latających ptakach.

My kuropatwy mamy niestety jeden przymiot, bardzo dla nas szkodliwy; oto mięso nasze jest tak smaczne, że ludzie polują na nas zawzięcie. To też pamiętajcie, abyście zawsze przed człowiekiem uciekały, szczególnie jeśli zobaczycie przy nim długą rurę błyszczącą, którą zowią fuzyą.

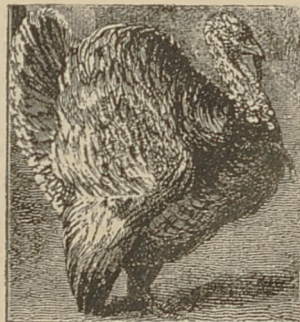
— Ach mamó — wołały małe kuropatwy — my raz tylko widziałyśmy człowieka i to tak zdaleka, że nie przypominamy już sobie dokładnie, jak ten straszny dla nas człowiek wygląda.

— Postaram się pokazać go wam znowu, ale zdaleka — obiecała matka. — Wiedźcie też, że mamy na świecie bliższych kuzynów, którymi także żywią się ludzie. Krewnymi naszymi są kury, bażanty, guszce, cietrzewie, jarząbki, i jakkolwiek istnieją między nami różnice w kolorze piór, we wzroście, podobni jesteśmy do siebie kształtem nóg, u każdej mamy po cztery palce, z tych trzy dłuższe z twardymi pazurkami zwrócone są ku przodowi nogi, a jeden małeńki palec w tył więcej dla ozdoby niż pożytku wyrasta. Wyznać muszę, że jakkolwiek fruwać możemy, szybko męczymy się lotem i dlatego głównie biegamy po polach, na których też znajdujemy nasze pożywienie, ale za to w szybkości biegu mało kto nam dorówna. Przytem odznaczamy się dobrocią względem innych ptaków, nie zabijamy ich za nic w świecie, nie karmilibyśmy się ich mięsem jak to czynią sępy, orły, jastrzębie.

No, a teraz możecie sobie pobiegać, pobawić się, pierwsza lekcya skończona.

A. M.

## Bacik Wacia.



Ciocia kupiła Waciowi, wychowawcowi swemu, bacik u Węgra, a dar ten taką mu sprawił radość, iż pokilkakroć ucałował serdecznie obie jej rączki. Bacik kupiony został wyłącznie w celu obrony od ogromnego indyka, który z nastaniem wiosny przechadzając się z liczną rodziną po dziedzińcu folwarcznym, okazywał niezbyt życzliwe dla Wacia usposobienie. Przyczyny nieprzyjaznych stosunków nikt nie dośledził, gdyż w pobl

żu domu nikt Waciowi nie towarzyszył, lecz dawały się one we znaki wszystkim, burząc często spokój na odgłos wrzawy dolatujący zdaleka.

A był to nieraz widok zabawny, jak indyk rozpuściwszy ogon i rozdawszy korale, z przeraźliwym gulgotaniem pędził za Waciem, a ten zaperzony, zgubiwszy czapkę uciekał przed nim krzycząc w niebogłosy. Skoro zaś krzyk jego dawał się słyszeć, odpowiadał mu głos przerażonej cioci, i wszystko co żyło śpieszyło na ratunek.

— No, teraz zmieni się postać rzeczy — myślała ciocia, wręczając bacik Waciowi — bo rzemień to nie krucha z bzu lub kaliny gałązka, którą chłopczyk wyłamywał sobie na obronę. Teraz, dawszy mu w ręce bacik będę już o niego spokojna...

Wacio zaś myślał sobie z kolei:

— No, teraz w inną dudkę zagram indykowi i nie gałązką jakąś drażnić go będę, lecz tym rzemykiem porządnie poczęstuję, i zobaczymy, kto przed kim uciekać będzie. Nie pyrniesz mi już pod sam nos swym rozczapierzonym ogonem — dodał głośno, idąc na dziedziniec z bacikiem, którym to wywijał w powietrzu, to próbował siły uderzeń z góry na dół.

Przekonawszy się zaś, że rozmaicie próbowany nie kruszy się i nie łamie, lecz świszcze tak jakoś zuchowato, że aż w duszy robi się śmieiej i w oczach weselej, natarł Wacio na nieprzyjaciela z tak zamaszystym rozpędem, że przerażony indyk furknawszy raz tylko skrzydłem i to nie całkowicie, zebrał w jedno mgnienie oka nastroszone pióra, ściągnął rozdymające się korale i rzucił się do ucieczki z całą swą gromadką, urywauemi tylko dźwiękami głosu wyrażając gniew swój i trwoję.

Odtąd napastnicze doświadczenia z bacikiem stały się codzienną zabawą, a po upływie pewnego czasu był on postrachem dla wszystkich ptaków domowych i przyczyną wielu niemałych wypadków nawet. Mówiono, iż z przeciętym grzebieniem kogut, chromiejący na nogę gąsior, a nawet córeczka kucharki ze szramą czerwona na twarzy i opuchniętem okiem, zawdzięczają te bolesne znaki zabranej z nim znajomości. Ciocia jedna tylko nic o tem nie wiedziała, bo służba, która lubiła Wacia i rada, iż obchodzi się teraz bez jej pomocy, ukrywała przed nią jego sprawki. Wszystko jednak ma swój kres, a „kto mieczem wojuje, od miecza ginie”, więc i tu przyszedł czas, w którym coś podobnego stać się musiało. Raz na dziedziniec wbiegło rozbrykane źrebie w chwili, gdy Wacio uwijał się z batożkiem, zapędzając drób gdzie pieprz rośnie. Przemknęło ono jak błyskawica tylko obok chłopca, który na odgłos jego biegu stanął na drodze w wyczekującej postawie, z podniesionym bacikiem, a czasu tego było dość, ażeby biedaczek znalazł się na ziemi, o parę kroków od miejsca spotkania, bez czucia, z twarzą krwią zbroczoną. Batożek musnął nogę źrebiecia, a jego kopytka zraniły twarz Wacia.

Nie będę wam opisywać jak długo i ciężko męczył się z raną, która z łatwością wygoić się nie dawała, bo sami to sobie przedstawicie. Powiem wam tylko, iż leżąc w łóżku w najpiękniejszej porze wiosny, przy zasłoniętych oknach, bo opuchnięte oczy nie znosiły światła i patrząc na boleść cioci sam wiele cierpiał. Bolała go

bowiem nietylko rana własna, lecz wszystkie rany i uderzenia, zadane niewinnym stworzeniom, które w ciągu choroby stały mu żywo przed oczami. To też spojrzawszy na bliźnę w kilka tygodni potem, westchnął ciężko i rzekł do cioci:

— Ta bliźna, ciotuniu, przypomniać mi zawsze będzie, jak byłem okrutnym używając do napaści na niewinne stworzenia narzędzie, dane mi do obrony.

— Więc teraz podziękuj Bogu, moje dziecko — odparła ciocia — żeś się nauczył rozumieć cierpienia innych i przekonałeś się, że podobne napaści, okrucieństwo wyradzają..

*Romania Kamińska.*

## JAGODA.

### II.

Jak zalata boże ziółko...

Gdzie tak śpieszno pani pszczołko?

Już za sosną. już za górką...

Przyjdiesz do mnie na podwórko.

Jak mateńka miód wysyci,

To się przecie coś zachwyci.

Danaż moja, dana, dana...

Gdybym była poszła z rana,

Kiedy świt był w cieniu grubym

To już byłby dzbanek z czubem.

Już południe, słyhać dzwonki,

Stary pasterz spędza z łąki,

To Pawłowa — to graniata,

Co kołatką tak kołata.

A to nasza krówka goni,

Co jej dzwonek cienko dzwoni.

I od gaja, aż do gaja

Rozlega się ryk buhaja.

Jak zobaczy cudze chłopię

Zaraz staje, ziemię kopie,

A burek go łap za nogę:

Nie przestępuj ludziom drogę.

Dobre psisko, nie napada

Na starego we wsi dziada;

Ale za to jak posłyszysz:

Pójdź tu burek, myszy! myszy!

Toż pod siebie ziemię spycha,

Kopie, kopie, potem kicha...

Coraz dalej dzwonki dzwonią,

A brzęk leci równą błonią.

*(Śpiewa).*

Pożegnała siostra brata,

Pożegnała temi słowy:

„Kiedy pójdiesz na kraj świata,

Mój braciszku, bywaj zdrowy.

Jak za siódmą będziesz rzeką,

Jak ci zgłuchną wiejskie dzwony,

Albo ja wiem jak daleko

Obejrzyj się w nasze strony,

Gdzie nad chatą rozwaloną,

Nad kominem, het! wysoko,

Takie nieba jasne łono

Jak nieboszczki matki oko.

Nie oglądaj się na człeka,  
 Ni na swoich, co już w grobie,  
 Ale bracie wspomnij sobie:  
 Że cię nasze niebo czeka.

Rosną wierzby nad wodami,  
 Nad zieloną pochyłością,  
 Kto pożegnał się ze łzami,  
 Ten powita się z radością.

Bywaj zdrowy! bywaj zdrowa!  
 Smutno świeci zachód złoty  
 Długa żalność, krótkie słowa:  
 Żegnały się dwie sieroty.

. . . . .  
 (d. n.)

## KRÓLEWNA.

Opowiadanie Cioci Maryni.

(Dalszy ciąg).

Trzy miesiące upłynęły zaledwie od owego dnia, kiedy Helenka dostała lalkę od wujaszka, a już wszystkie kamyczki w naszyjniku zczerniały, z wieńca róż nie pozostało ani śladu, welon był podarty, suknia brudna i zgnieciona, włosy splątane, twarz zeszpecona dwiema tłustymi plamami. Królewna nie poruszała już ani ręką ani nogą, mogła jeszcze zamykać tylko i otwierać oczy, co bardzo cieszyło Helenkę.

Gdy nadeszły imieniny Helenki, matka pozwoliła jej zaprosić kilkoro znajomych dzieci na podwieczorek. Rano Jagusia przyniosła jej na wiązanie wianuszek tak zręcznie uwity ze świeżych poziomek i porzeczek poprętykanych strączkami grochu cukrowego, że wszyscy się nim zachwycali. Helenka serdecznie podziękowała Jagusi i ją także zaprosiła na podwieczorek. Jagusia przyszła w skromnej ale czysto upranej perkalowej sukience i w białym fartuszk. Dopóki były same, dopóty zabawa szła w najlepsze, gdy jednak przyszły inne dziewczynki bardzo postrojone i nie przywitały się nawet ze skromnie ubraną Jagusią, Helenka także spostrzegła różnicę i w głębi ducha żalowała, że zaprosiła taką prostą dziewczynę. Jagusi łzy zakręciły się w oczach, przykro jej było, gdy widziała, że dziewczynki odsuwają się od niej, nic jednak nie powiedziała. Tymczasem wystrojone dziewczynki zebrały się w drugim rogu pokoju i zaczęły szeptać między sobą:

— Patrzcie-no, jakie ta mała ma grube trzewiki! — mówiła jedna z nich.

— A jaką szkaradną suknię — dodała druga.

— Wygląda przy nas jak pomywaczka — zauważyła trzecia.

Wreszcie jedna z nich zawołała Helenkę i oświadczyła jej, że ona wcale bawić się nie będzie, jeżeli Jagusia ma także należeć do zabawy. Helence wstyd się zrobiło, że ma taką ubogą towarzyszkę, lękała się szyderstwa bogatych przyjaciółek, to też gdy wszystkie dziewczynki zgromadziły się aby rozpocząć zabawę, odezwała się szorstko do Jagusi:

— Idź sobie do domu. Nie pozwolę ci bawić się z nami, bo jesteś szkaradnie ubrana.

Jagusia ze zdziwieniem spojrzała na Helenkę, myśląc, że to żart tylko. Dwie dziewczynki stanęły nawet w jej obronie i prosiły, aby jej wolno było zostać. Helence także żal było Jagusi, ale wstydziła się tego okazać, oddaliła więc ubogą dziewczynkę.

— Odejdź natychmiast.

Jagusia odeszła ze smutną miną, wróciła do domu rodziców i usiadłszy na progu, rzewnie płakać zaczęła. Pozostałe dziewczynki bawiły się w ogrodzie, dopóki nie zawołano ich na podwieczorek. Helence smutno się zrobiło, gdy patrzyła na odchodzącą Jagusię, bojąc się jednak szyderstwa innych dzieci nie usłuchała głosu swego serca i nie przywołała towarzyski.

— Pójdę do niej jutro — pomyślała — zaniosę jej kawałek tortu i wszystko pójdzie w zapomnienie.

Odkąd Królewna stała się tak potwornie brzydką, Helenka nie pokazywała jej nigdy swoim przyjaciółkom; i dziś także nie wyjęto jej wcale z szafy, a dziewczynki bawiły się w kotka i myszkę, zgadywały szarady, tańczyły, aż wreszcie zmęczone powróciły do domów. Helenka była także tak zmęczoną, że położyła się natychmiast po wyjściu przyjaciółek, nie zajrzawszy do lalki. Dopiero nazajutrz rano otworzyła szafkę: lalka leżała z zamkniętymi oczyma. Helenka wzięła ją na ręce, potrząsnęła nią raz i drugi: Królewna nie otworzyła oczu jak gdyby dla tego, że nie chciała patrzeć na dziewczynkę, która obeszła się tak okrutnie z ubogą towarzyszką. Z krzykiem rozpaczy Helenka rzuciła lalkę na ziemię. Tak więc wszystko przepadło!... Płacząc rzewnie schowała śliczną niegdyś Królewnę do szafy, przez cały dzień była bardzo smutną i ciągle na płacz jej się zbierało. Wieczorem bardzo długo zasnąć nie mogła, aż gdy wreszcie sen skleił jej powieki, zobaczyła znów wróżkę siedzącą przy swoim łóżku. Ale tym razem piękna wróżka była zmienioną do niepoznania: oczy miała zamknięte, włosy roztargane, ręce zwieszzone bezwładnie, a twarz zeszpeconą dwiema plamami.

— Patrzaj, Helenko — odezwała się smutnym głosem — patrzaj, co ze mnie zrobiłaś swoim postępowaniem? A i w tobie także zaszła wielka zmiana, stałaś się teraz złem dzieckiem, które sprawia rodzicom wiele, wiele zmartwienia. Jakże się ucieszy moja nieprzyjaciółka, wróżka Farmala, gdy się dowie, że spożytkowałeś jej dary. Wszystkie moje przestrogi na nic się nie zdały.

— Ach! dobra wróżko — ze łzami zawołała Helenka — czyż już niema na to ratunku? Czy nigdy nie odzyskasz twej piękności, a ja nazawsze pozostanę niegodziwym dzieckiem?

— I owszem, jest na to sposób — odpowiedziała wróżka — popraw się z twych wad a ja znowu stanę się taką, jaką byłam dawniej.

— Ach! jakżebym tego pragnęła! — z westchnieniem rzekła Helenka — ale to tak trudno być dobrą! Tyle razy próbowałam poprawić się, a zawsze nadaremnie!

— Zechciej tylko szczerze a poprawisz się z pewno-

ścią. Próbuj pracować nad każdą z twoich wad po kolei, a jeżeli będziesz miała wytrwałość i poprawisz się z jednej, to i z innymi łatwiej ci pójdzie.

Obudziwszy się, Helenka poczuła, że ma mokre poduszki: widocznie musiała płakać przez sen. Leżąc w łóżeczku, postanowiła szczerze pracować nad sobą. Widok zeszepeczonej lalki przypominał jej wszystkie dawne przewinienia, a było ich tyle, że Helenka czuła, iż nie potrafi poprawić się jednocześnie ze wszystkich wad.

— Trzeba zrobić tak, jak wróżka radziła — pomyślała sobie. Przy ubieraniu zachowywała się spokojnie, nie dokuczała bonie, prędiutko wypita śniadanie, to też przed rozpoczęciem lekcyj znalazła jeszcze czas zajrzeć na chwilę do lalki. Helenka spodziewała się, że zobaczy już w Królewnie pewną zmianę, omyliła się jednak: bo jednorazowe powstrzymanie się od złego, nie dowodzi jeszcze poprawy. Zdawało jej się tylko, że włosy lalki są trochę mniej splątane. Tak upłynął cały tydzień. Helenka była uważniejszą podczas lekcji, pilniej odrabiała zadania, obchodziła się grzeczniej ze służbą, prosiła o wszystko i ani razu nie odezwała się do nikogo rozkazującym tonem. W niedzielę wyjęła lalkę z szafy. Wprawdzie włosy Królowny nie zwijały się jeszcze w pukle, ale były już gładziutko zaczesane, a na wąskiej jedwabnej wstążeczce, która pozostała z dawnego wianuszka, widać było jedną nawpół rozwiniętą różyczkę. Przyjrząwszy się uważniej, Helenka spostrzegła, że i jeden kamyczek w naszyjniku odzyskał blask. Nie potrafiłabym opisać wam, z jaką radością przyglądała się ona temu kamykowi i tej różyczce i jak się cieszyła widząc, że jej usiłowania poprawy nie pozostają bez skutku. Klasnęła w ręce z radości i ze łzami w oczach zawołała:

— O dobra wróżko, nie opuszczaj mnie nadal!  
(d. c. n.)

### SZARADA.

od Ukrainki.

*Pierwsze* jest w śpiewie, a *drugie* wskazuje,  
Gdy nadejdzie *wszystko*, toż nas rozraduje!  
*Drugie* zaś z *pierwszem* gdy jest między wami,  
I gdy jest małeńka, pieścień ją czasami.

### ŁAMIGŁÓWKA KWADRATOWA.

ułożył Wielki Wąż.

Z następujących sylab: Ma—cza—be—na—ko—ca—nar—li—ka—ro—li—tar—na—sy—pi—tyz— w sześciu rzędach oznaczonych literami A. B. C. D. E. F. ułożyć w każdym wyraz sześciogłoskowy, których litery oznaczone liczbami od 1 do 6 włącznie, złożą nazwę miasta gub. w Królestwie. Znaczenie wyrazów: 1. Godło królewskie. 2. Nazwa zastony przed pociskami. 3. Dopływ Wisły. 4. Owoc rośliny z rodziny różowatych. 5. Ptaki błotne. 6. Kwiat z rodziny amarylkowatych.

A 1 . . . . .  
B . 2 . . . . .  
C . . 3 . . . . .  
D . . . 4 . . . . .  
E . . . . 5 . . . . .  
F . . . . . 6

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 30-go.

Zagadki: K u l a.

*Niteczki Aryadny:*

Nie pomoże, mówią woda,  
Gdy brzydka uroda;  
Ale to do pochwał zmusza,  
Kiedy piękna dusza.

*Ewa Marya.*

### Skrzynka do listów.

Nie możemy gniewać się na sześciolletnią **Stasię** tak otwarcie przyznającą się do winy zagubienia numeru. Posyłamy go jej wraz z serdecznym uściskiem.

Śliczny ma projekt **Topolka z nad Jody**, i ślicznie też czyni, kochając tak serdecznie osobę która jej wychowaniu przewodniczy. Całem sercem podzielamy bolesną stratę rodzinną, jaką poniosłaś, dziewczeczko droga i szczerze życzymy zdrowia biednemu braciszкови. To szczęście przynajmniej, że na wsi i w lecie nie brak zajęcia.

Tegoż samego współczucia wyrazy i tobie przesyłamy, kochana **Muszko latająca**. Żalu po zmarłej siostrzyczce i przyjaciółce nic nie ukoi tak skutecznie, jak proste a wymowne słowa: „*Nie umarła dziewczeczka, ale śpi!*”.

**Żaba błękitna**—dziwo zoologiczne—nadesłała nam niezłe narysowane i pomysłane trzy rebusy; świadczą one o zamknięciu Żabki do rysunków, zachęcamy ją więc do doskonalenia się w tym kierunku; rebusy jednak w tej formie użyte być nie mogą.

Zagadkę **Maćka Pod.** z kolei po poprawieniu wydrukujemy.

Zazdroszczę ci, **Ciociu Maniu**, wycieczki do Zakopanego, które mi pozostawiło najmiłsze wspomnienia. Bardzobym rada wejść w korespondencję z tą twoją siostrzyczką, tak rozmiłowaną w Wieczorach. Pilna to musi być dziewczynka i proszę, namów ją, niech powiększy grono moich małoletnich przyjaciółeczek. Bardzo mi zajął opis obchodu, istotnie przypominającego średnie wieki, w których powstał, jak wiemy. Dlatego właśnie tak lubię historję, że znajomość jej pozwala nam wiedzieć jakim zmianom ulegają w ciągu wieków zwyczaje prywatne, zarówno jak i uroczystości publiczne. Wiem naprzykład z historii o amazonkach, ale takiej wszędobylskiej jak ta *Amazonka*, która mię liścikiem obdarzyła, nie znalazł dotychczas. Aż mi się w głowie miesza: New-York, Warszawa, Alpy, Biarritz! Brzydotka z nad Tamizy, przebywa teraz w Ameryce, Jaskółka z nad Sekwany nie jest francuzką, a do ostatniego konkursu dla chłopców, wolno także i staruszkom należeć. O pisywanie do mnie bardzo proszę; najszcześniejszą jestem, gdy mogę na listy wasze odpowiadać, jako wierna wam zawsze.

*Gołąbka.*